

plansza wywiedziona z języka, nasza pozasłowność.
wracamy często w to miejsce i z rozgoryczeniem
stwierdzamy: powiększa się i wyrodnieje.

gdy tam jesteśmy — tyle w nas much!
śpiewają abecadła z elementarza Farinellego
(albo Falskiego, ciężko stwierdzić, głoski
obrastają kolcami, ciężko się słyszą).

jest tam skrawek pełen głębokiej ciszy, gdzie milczą
miękkie i przyjazne słowa jak cycatość, szal, jabłko,
za to w podświadomości każdego mieszkańca
wrzeszczą komunikaty:
"Nie otwieraj zbyt szeroko oczu,
bo Ci wleci planeta Ziemia"
"Zatknij uszy, by się uniewrażliwić!"
"Uważaj, gdzie się kończysz!"
"Zbyt długie leżenie grozi zapadnięciem się w glebę"

panuje cenzura retencyjna: betonowe zapory
oddzielają jeden fałsz od drugiego,
pozornie chronią przed zalewem.

tam, oficjalnie, kłamie się raz do roku,
półgębkiem i wbrew sobie,
w baliach gęstej wody dojrzewa ławica zdrowych,
bo śniętych ryb.

łuska jednej, dwa musze skrzydelka — jako
talizmany. dźwigamy je w portfelach, choć i tak
zdajemy się na niewidomy los.

ćwierć wiorsty dalej — kraina wolna od języka,
gdzie zamiast śliny istnieje zbrylony miód,
detektoryści chodzą z wykrywaczami prawdy.
nosy — wręcz przyspawane do głośników.

tak, czują dym, naszemrane tajemnice.
mole książkowe przeszeptują przez czas i przestrzeń
mało prawomyślne idee, teksty świeżo przeczytanych
nowelek, albo opisują, kreska po kresce,
plany budynku Centrum Dekosmetyzacji (to takie
fajne miejsce, do którego przychodzą matronie
niemogące zmyć piętrowego makijażu, trze się je
tam pumeksami, płucze w ługu, aż do uzyskania

krystalicznej bieli).

istny mór książkowy: penetrowanie nazw. na
przestrzał i po przekątnej. szpital marki Diorama,
przedszkole marki Sofokles.

jest i trzecia płaszczyzna. patrzymy tam sobie w oczy
i jakbyśmy zderzali się ciemniami.

pływy: unosząca się w powietrzu zawartość ślinianek.
ściany są płócienne i pluje się w nie. nawet
konstelacje, raz bardziej, raz mniej, nasiakają.

"słysz tężnie. tężenie. czujesz? też nie?" — melorecytuję
ci do ucha grudkę czarnego atramentu.
tam, niekiedy, nie ma nic poza nami
i stadem kobiet bez imion.
istny solipsyzm. sól z ich pizd.

nie lubimy tych pań. są zbyt dowolne (któraś
ma atak epilepsji, wstaje — i okazuje się, że
namalowała, dłonią na piasku,
przypadkowy autoportret.

inna, o nadrozwinętej wyobraźni
(cholerna rozbuchanka!) — ciska kieliszkiem
o podłogę. fala uderzeniowa, fala fantazji
jest tak silna, że pod jej wpływem dochodzi do
tragedii: dźwigają się z przeszłości wieże WTC.
ginie mnóstwo ludzi, bo nagle wyrosłe z ziemi
wieżowce obracają w gruzy nowe budynki
odbudowywanego World Trade Center.

myślę o czwartym, hipotetycznym miejscu.
to ojczyzna na okaziciela, rodzinna wieś, z
której cię wygnano, poszczuto kamieniami.
to dom, który się zjada, codziennie, po kawałku.
jak? nie myśląc o nim, tracąc go na rzecz
innych, obcych.

"Psuj przestrzeń!" — głosi szumne hasło
Neurokostryktywistów, grupy literackiej, którą
założyliśmy, by się zagryźć., bez słów, bez obelg.
z melodyjnym charkotem
(potraktuj ból jak egzotyczną przyprawę,
poczuj się ubogacona nim).

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 27.07.2022 08:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.